MAJAK

WIDMA

SUWALSZCZYZNY

KATARZYNA KUŚMIERCZYK

MAJAK

Jegliniszki – grudzień 2025

© Copyright by Katarzyna Kuśmierczyk

Grafika na okładce:
Katarzyna Kuśmierczyk z wykorzystaniem AI

Wydawnictwo:
KDSystem
wydawnictwo@kdsystem.com.pl

Korekta:
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Druk i oprawa:
Sowa sp. z o.o.
ul. Raszyńska 13, 05-500 Piaseczno
www.sowadruk.pl

ISBN 978-83-979337-0-5

Wszelkie opisy miejsc, ich historii i znaczeń mają charakter literackiej interpretacji, a przedstawione w powieści postacie i wydarzenia są fikcyjne i nie stanowią opisu stanu faktycznego ani historycznego.

Pamięci Agathy Christie –

Mistrzyni suspensu,
niedoścignionej Królowej kryminału.

A peste, fame, igne et bello libera nos, Domine!

PROLOG

BOGNA

GDAŃSK

noc z 15–16 sierpnia 2023

Prolog

Bogna całym ciężarem oparła się o kontuar drewnianego baru. Policzek miała tak blisko, że widziała każde pęknięcie i zarysowanie przecinające charakterystyczny, falisty układ włókien forniru bubinga pokrywającego blat. Muzyka, która jeszcze przed chwilą dudniła jej w głowie, teraz docierała jak przez warstwę grubej waty. Ruchy tańczących wydawały się wolniejsze, a kolory i światło bardziej jaskrawe. Zmrużyła oczy, próbując zachować ostrość widzenia, ale obraz falował, pulsując i rozmywając kontury.

Z trudem przełknęła ślinę, czuła jak wermut z sokiem pomarańczowym, który sączyła przez cały wieczór, podchodzi jej do gardła. Wprawdzie nie miała nic w ustach od śniadania, ale przecież nie mógł jej zaszkodzić jeden słaby drink?

Całą swoją uwagę skupiła na otworzeniu torebki, palce z trudem uchwyciły ozdobne zakończenie suwaka, ledwie wyczuwając jego strukturę. Miała wrażenie, że dotyka metalu przez grubą warstwę materiału, a z każdą sekundą jej ręce stają się coraz bardziej sztywne i niezgrabne. Mocno przygryzając wargę i koncentrując się na każdym ruchu, w końcu wydobyła telefon i z ulgą przysunęła go do twarzy. Spróbowała mocniej zacisnąć pięść, ale nie była pewna czy jej się to udało, nie była w stanie kontrolować nacisku i miała poczucie, że aparat niemal wyślizguje jej się z dłoni.

Na szczęście nie musiała szukać osoby, z którą chciała rozmawiać, nacisnęła ostatnio wybrane połączenie i w napięciu

czekała na głos, który powinien się odezwać po drugiej stronie. Zamiast tego, z głośnika popłynęło dobrze jej znane nagranie odtworzone z automatycznej sekretarki:

– *Cześć, skoro nie odbieram, to najwyraźniej jestem bardzo zajęta, albo nie chcę z tobą rozmawiać…* – usłyszała, zanim komórka wypadła jej ze zgrabiałych rąk.

Coraz bardziej przerażona, pochyliła się nad podłogą próbując odszukać wzrokiem zgubę. Z trudem utrzymywała równowagę, parkiet wydawał się chwiać i falować, a obraz tracił kontury, które dodatkowo zacierała mleczna mgła.

Bogna była coraz bardziej zdenerwowana, musiała natychmiast dodzwonić się do przyjaciółki! Przyszły tu przed dwudziestą drugą i jeżeli miały zdążyć na nocny pociąg, powinny wyjść przed północą, która już dawno minęła.

Dziewczyna nie miała ochoty na tę imprezę w klubie, ale nie potrafiła odmówić prośbie koleżanki. To był ich ostatni wieczór w Gdańsku, więc i tamtej należało się coś od życia. Cały weekend słuchała jej wynurzeń i użalania się nad sobą. To właśnie dla Bogny pojechały na ten wspólny, babski wypad. Bardzo tego potrzebowała po nagłym rozstaniu z Krzysztofem. Ale miała poczucie winy, że skupiły się wyłącznie na jej potrzebach, szczególnie kiedy jej towarzyszka, mało taktownie, wypomniała jej, ile czasu jej poświęciła.

Dlatego teraz nie zaprotestowała, kiedy przyjaciółka, po kilkunastominutowych szaleństwach na parkiecie, szepnęła jej, że urywa się na chwilę i rozanielona ulotniła się z przystojnym blondynem…

– Pomogę – chłopak ubrany w czarną kurtkę zanurkował pod barowymi stołkami. – Musisz być ostrożniejsza – bez pytania włożył jej aparat do torebki i zapiął zamek. – To co? Pójdziemy już? – złapał ją pod rękę, a pytanie zabrzmiało jakby kierował je do dobrej znajomej. – Płacę za panią – machnął ręką na barmana.

Bogna chciała stanowczo zaprotestować i wyrwać ramię z silnego uścisku mężczyzny, ale jej mięśnie były zupełnie bezwładne, a z ust, zamiast słów oburzenia, wydobył się tylko cichy, bełkotliwy jęk. Nagle poczuła, jak nogi odmawiają jej posłuszeństwa, a ciało robi się wiotkie i lejące. Gdyby nie fakt, że nieznajomy mocno objął ją w pasie i zarzucił jej rękę na swoją szyję, wylądowałaby z hukiem na podłodze. Próbowała skupić spojrzenie na obliczu mężczyzny, ale jej wzrok nie był już w stanie dostrzec rysów intruza. Jego twarz stała się nieforemną plamą, a zewsząd otaczały ją tylko rozmyte, różnokolorowe cienie pulsującego światła. Jedyne co zdołała zarejestrować to głos, który wskazywał na młody wiek obcego, i spowijający go zapach dobrej wody kolońskiej zmieszanej z wonią tytoniu.

Kobieta czuła narastający strach, jeszcze raz spróbowała odsunąć się od nieznajomego, ale jej mięśnie nie współpracowały z mózgiem. Chciała krzyczeć, żeby ją zostawił i wynosił się w diabły, ale nie była w stanie nawet otworzyć ust, zupełnie jakby nagle straciła kontrolę nad własnym ciałem, które bezwolnie poddawało się zamiarom obcego. Ciągle jeszcze działały zmysły, ale i one słabły z każdą chwilą.

Bogna poczuła chłodny powiew wiatru na policzku, musieli opuścić klub, bo nagle zgasły kolory i światła. Gorączkowo próbowała zachować przytomność umysłu i przypomnieć sobie jak wyglądała okolica, żeby zapamiętać drogę, którą ją prowadził. Jednak wszystkie myśli rozpływały się w głowie, zanim zdołała się na nich skupić. Zresztą z każdą sekundą było jej coraz bardziej wszystko jedno.

Ostatnie, co zarejestrował jej zdezorientowany mózg, to nagły paroksyzm bólu przeszywający ciało. Potem była już tylko ciemność…

* * *

Doktor Mieczysław Szafranowicz wpisał ostatnie zlecenia, odłożył karty i ponownie zajrzał na trójkę.

Na łóżku, obstawionym medyczną aparaturą, leżała nieruchoma postać przykryta prześcieradłem. Na białych obwojach bandaża, spod których wystawały jedynie zaintubowane usta, wykwitła niewielka, szkarłatna plamka krwi.

Siwa pielęgniarka w niebieskim kitlu, spojrzała w stronę wchodzącego, a widząc lekarza dyżurnego, ponownie pochyliła się nad chorą i poprawiła elektrody. Uderzenia serca, które rejestrował kardiomonitor były wolne i słabe, jakby organizm pogodził się z nieuchronnie nadciągającym końcem. Szafranowicz patrzył, jak kobieta bezszelestnie zmienia kroplówkę i koryguje ustawienia pompy. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, sprawdził parametry respiratora i wykresy na karcie.

Nieprzytomna kobieta wydawała się taka krucha i delikatna. Przywieźli ją nad ranem, właśnie zamierzał się chwilę zdrzemnąć, kiedy zadzwonili, że ma przyjęcie.

Miał prawie sześćdziesiąt lat i całe swoje zawodowe życie spędził na oddziałach ratunkowych, ale jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział.

Głowa i twarz dziewczyny były kompletnie zmasakrowane. Odłamy kostne mieszały się z krwią, tkanką miękką i jedwabistymi blond lokami. Nie reagowała na żadne bodźce, a brak odruchów neurologicznych i rozszerzone, nieruchome źrenice wskazywały na najgorsze. Jej sukienka była w strzępach, ale poza uszkodzeniami twarzoczaszki nie stwierdził żadnych poważniejszych urazów i śladów penetracji. Dopiero z relacji policjantów dowiedział się, że świadkowie widzieli, jak napastnik pastwił się nad nią, okładając kijem bejsbolowym i prawdopodobnie to oni zapobiegli próbie gwałtu. Oprawca zachowywał się jakby był w jakimś amoku, dopiero wystraszony głośnym krzykiem nadchodzących ludzi, zbiegł.

Mężczyzna westchnął ciężko i odwiesił kartę na poręcz łóżka. Bogna Tokarzewska miała dwadzieścia jeden lat i była dokładnie w wieku jego córki, a on mimo upływu czasu i ogromnego doświadczenia w zawodzie, nadal nie potrafił się przyzwyczaić do takich sytuacji i decyzji. Jeszcze dzisiaj trzeba będzie przeprowadzić badanie encefalografem, ale Szafranowicz był niemal pewien, jaki będzie jego wynik. Objawy stwierdzone przy przyjęciu, brak odruchów kaszlowych i testy odruchów rogówkowych, niemal w stu procentach wskazywały na śmierć mózgu.

Rzadko bywał sentymentalny i angażował się emocjonalnie w sprawy pacjentów, ale tym razem miał nadzieję,

że jego diagnoza się nie potwierdzi. W końcu nie takie cuda zdarzały się na oddziałach.

Zanim zamknął drzwi, jeszcze raz spojrzał na bezwładne ciało, które czterdzieści osiem godzin temu tętniło życiem.

CZĘŚĆ PIERWSZA

POMSTA

GDZIEŚ W POLSCE

15 sierpnia 2025

Rozdział I

Majka z namysłem rozejrzała się po pokoju i zadowolona zasunęła torbę, teraz już na pewno była spakowana. Od rana kilkukrotnie rozpinała zamek, żeby dorzucić jakiś zapomniany przedmiot, ale tym razem była pewna, że naprawdę jest już gotowa do drogi.

Trochę martwiła się wczorajszą awanturą, ale wiedziała, że ojcu niedługo przejdzie, ciągle chciał ją kontrolować i niepokoił się o nią, a Majka od dawna nie była już małą dziewczynką, za jaką nadal ją uważał. Miała dwadzieścia dwa lata, wreszcie dostała się na wymarzone studia i nawet tato musiał pogodzić się z faktem, że zaczynała nowy, ekscytujący etap długo wyczekiwanej i prawdziwej dorosłości.

To miał być pierwszy samotny wypad w jej życiu i cieszyła się na niego jak dziecko. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego wybrała akurat Żabiniec. Nigdy wcześniej nawet nie słyszała tej nazwy, ale instynktownie czuła, że to właśnie tam powinna spędzić najbliższe dwa tygodnie wakacji. Nie potrafiła logicznie wyjaśnić swojej decyzji, ale od jakiegoś czasu miewała dziwne, niepokojące sny, pełne wizji i obrazów, których znaczenia nie rozumiała, a Suwalszczyzna śniła jej się prawie co noc, nawołując ją i przyciągając. W tym czasie przeczytała niemal wszystko o tym regionie i z każdym kolejnym pochłoniętym informatorem była coraz bardziej przekonana, że jedzie w jedno z najpiękniejszych miejsc Polski.

– Przewodnik! – Niezadowolona wydęła usta i ponownie rozsunęła zamek walizki. Jak mogła zapomnieć?

Sięgnęła po całkiem pokaźny stos książek i po chwili namysłu wybrała tę, która miała wszystko: *Suwalszczyzna. Zaniemenie* Krzywickich. Spośród zalewu różnorakich informatorów, wybrała tę pozycję z powodu nazwy, której nie rozumiała, a która wydawała się jej zabawna. I po kilku pierwszych stronach przepadła z kretesem. Tajemnicze Zaniemenie okazało się litewskim określeniem terenów położonych na południe i zachód od Niemna, a przewodnik prawdziwą perełką dla żądnego przygód i spragnionego lokalnych ciekawostek turysty.

Teraz z trudem upychała książkę w wypełnionej po brzegi walizce. Sapiąc, usiadła na górnej pokrywie i wkładając w to wszystkie siły, dopięła suwak.

– No! – zadowolona postawiła pękającą w szwach torbę przy drzwiach i sięgnęła po plecak. – Matko, jak późno. – Stęknęła, nagle zdając sobie sprawę, że do odjazdu pociągu zostało jej niespełna pół godziny. – Jeszcze kurtka – cofnęła się w stronę szafy i podskoczyła na dźwięk głosu dobiegającego zza okna:

– Huuu, huu…

– Ależ mnie przestraszyłeś – uśmiechnęła się na widok rudobrązowego ptaszyska siedzącego na parapecie, które wlepiało w nią swoje czarne, hipnotyzujące oczy. – Niemal o tobie zapomniałam – w jej głosie zabrzmiało zakłopotanie. – Wyjeżdżam na dwa tygodnie i nie zdążyłam dzisiaj nic dla ciebie kupić. – Delikatnie pogładziła miękkie pióra, pokryte wzorami do złudzenia przypominającymi korę drzewa.

Puszczyk przekrzywił głowę i wolno zmrużył oczy, jakby rozumiał każde słowo wypowiedziane przez Majkę. Mieszkał na ich podwórku prawie od dwóch lat. Nikt nie wiedział, skąd się wziął i dlaczego na swoje gniazdo wybrał dziuplę w pniu spróchniałej lipy rosnącej pod domem, ale od tego czasu codziennie przesiadywał na parapecie Majki. Na początku podchodziła do niego z nieufnością, ale już po kilku dniach przeszukała Internet, żeby znaleźć informacje o zwyczajach tych ptaków, a to, co przeczytała, wprawiło ją w zdumienie, bo nijak miało się do zachowania tego konkretnego puszczyka. Nazwała go Bazyl i z ciekawością obserwowała jego poczynania.

Ptak, siedząc na gałęziach starej lipy prawie cały dzień wpatrywał się w jej okno, a kiedy tylko go otwierała, natychmiast lądował na parapecie. To było dziwne, bo nie dość, że puszczyki rzadko gniazdowały w centrum miasta, to z własnej inicjatywy nie wchodziły w relacje z ludźmi. Z tego, co ustaliła, były prawdziwymi drapieżnikami, nieobliczalnymi i agresywnymi. Ale ten był inny… i najwyraźniej miał lekceważący stosunek do naukowych opinii, że nie potrafi nawiązywać więzi emocjonalnych z człowiekiem, i chyba naprawdę ją lubił.

Kupiła więc podroby drobiowe i dokarmiała go tymi przysmakami, które jadł jej z ręki, niczym w pełni udomowiony kot czy pies.

Ojciec na początku niezadowolony z zachowania córki, a potem z ciekawością obserwujący ich relacje, śmiał się, że pewnie nikt mu nie powiedział, iż z ludźmi się nie zaprzyjaźnia,

a po cichu, kiedy Majka nie widziała, sam zaczął dokarmiać Bazyla.

Z czasem zaczęła sobie cenić te codzienne spotkania. Ptak stał się powiernikiem jej najskrytszych tajemnic, a patrząc na jego czujne zachowanie, można było się zastanawiać czy i nie strażnikiem domostwa?

– Bądź grzeczny i domu pilnuj – dodała i pieszczotliwie pogładziła ptaka po dziobie.

Niewzruszony puszczyk ze spokojem spoglądał na swoją opiekunkę, która zachowywała się coraz bardziej nerwowo. Chwyciła kurtkę i zerkając w lustro wygładziła potargane włosy. Wreszcie była gotowa do drogi i teraz naprawdę już musiała bardzo się spieszyć.

– Nie zmieniłaś zdania? – Zaaferowana pakowaniem i pożegnaniem z ptakiem, nie słyszała kroków ojca wchodzącego po schodach. Tato stał w drzwiach jej niewielkiego pokoju i patrzył na nią z wyczekującym napięciem.

– Tatuś, nie zaczynaj – jęknęła prosząco – rozmawialiśmy już o tym, nic mi nie będzie i naprawdę muszę już lecieć. Jeżeli zaraz nie wyjdę, to nie zdążę na pociąg do Wrocławia i nie złapię przesiadki do Białegostoku. – Unikając jego spojrzenia, dziarsko chwyciła walizkę, próbując wyminąć ojca w wąskim przejściu.

Marek patrzył na swoją ukochaną jedynaczkę. Była tak podobna do jego zmarłej żony. Filigranowej budowy, niewysoka, z rudymi lokami splecionymi w staroświecki warkocz, zielonymi, mądrymi oczami i mnóstwem piegów wokół małego, zgrabnego noska. Tylko buzię miała

szczuplejszą, brakowało na niej opalenizny i charakterystycznych dołeczków Ilony. Twarz Majki była pergaminowo blada, ciągle jeszcze unikała słońca, chociaż odgrażała się, że już niedługo to się zmieni.

– Masz – mężczyzna wyciągnął zaciśniętą rękę w stronę córki.

– Tatuś, ja naprawdę się spieszę – spróbowała raz jeszcze proszącym tonem, ale widząc stanowczy wzrok ojca posłusznie sięgnęła po to, co trzymał w pięści. – Co tooo? Naprawdę?! Dziękuję! Jesteś najwspanialszym tatkiem na świecie! – Rzuciła się Markowi na szyję. – Ale jesteś pewien? – Niedowierzała, obracając w ręku kluczyki do ukochanego forda ojca.

– Nie jestem – mężczyzna przecząco pokręcił głową – i lepiej zabierz je szybko, żebym się nie rozmyślił – westchnął ciężko. – Sprawdziłem, z Namysłowa to sześćset kilometrów i sześć godzin drogi, prawie cały czas jedziesz drogą S8 albo autostradą, zjeżdżasz dopiero za Ełkiem, więc powinnaś sobie poradzić…

– Na pewno sobie poradzę – kobieta pisnęła radośnie, z trudem powstrzymując się przed zbiegnięciem na dół.

– …ale robisz minimum trzy przerwy, w trakcie których się meldujesz i codziennie do mnie dzwonisz z tego Żabińca.

– Tak jest! – Dziewczyna zamarkowała salut i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Rower masz spakowany w bagażniku, włożyłem ci zestaw kluczy, będziesz musiała go jakoś poskręcać albo poprosisz kogoś z miejscowych. To chyba wszystko – rozejrzał się bezradnie, jakby nie był pewien własnych decyzji. – Dawaj tę

torbę – wyjął walizkę z rąk roześmianej córki i z posępną miną począł schodzić po schodach.

Dziesięć minut później Majka minęła Bramę Krakowską, a już po chwili we wstecznym lusterku mignęła jej tablica Namysłowa.

* * *

Natalia bezmyślnie gapiła się w okno, po którym spływały niesłabnące potoki deszczu. Obudziła ją burza przechodząca nad miastem, która w końcu spłukała nieznośny upał ostatnich dni, niosąc ulgę przywiędłym roślinom i rozpalonym ludzkim ciałom.

Dziewczyna podniosła się z łóżka i nie zważając na ulewę rozwarła szeroko okno. Duszne, rozgrzane pomieszczenie natychmiast zalała fala świeżej wilgoci, niosąc ożywczy chłód i przyjemne orzeźwienie. Przez chwilę patrzyła, jak strumienie wody płyną po ulicach, gromadząc się w większych zagłębieniach, a zapchane kratki ściekowe nie nadążają zbierać ogromu opadów spływających z zaciągniętego sinymi chmurami nieba.

Wciągnęła głęboko powietrze i zadrżała. Było zimniej niż przypuszczała, wraz z burzą, której nikt się nie spodziewał i nikt nie zapowiadał, gwałtownie spadła temperatura powietrza.

A może to znak? – Przez ułamek sekundy w jej głowie zamieszkała niepewność. *Może nie powinnam tam jechać?* – Rozmyślała zamykając okno i okrywając zmarznięte ramiona szlafrokiem.

Jeszcze wczoraj cieszyła się z tego wyjazdu, to miał być nowy, lepszy początek. Ostatnio nie poświęcali sobie zbyt wiele czasu i nie wkładali zbyt wiele energii w pielęgnowanie tego związku. Instynktownie czuła, że Adrian odsuwa się od niej, coraz częściej wybierając wyjście z kumplami na piwo, zamiast romantycznego wieczoru spędzonego z ukochaną kobietą. Fakt, że zaproponował wspólny wakacyjny wyjazd przyjęła z radością i ulgą. Dwa tygodnie na zupełnym odludziu powinny zbliżyć ich do siebie i pozwolić na wyjaśnienie kilku dręczących ją spraw.

I najważniejsze – zamierzała go w końcu spytać, jak widzi ich wspólną przyszłość?

Byli ze sobą ponad pięć lat i nie zamierzała dłużej marnować czasu na Adriana, jeżeli nadal nie chciał się wiązać na poważnie. Nie była w stanie określić, kiedy się to zaczęło, ale od dobrych kilku miesięcy większość ich rozmów kończyło się kłótnią, a na delikatną sugestię o wspólnym zamieszkaniu reagował wręcz alergicznie. Ostatnio nawet przestał zostawać u niej na noc, wykręcając się coraz gorszym stanem zdrowia matki, z którą zresztą ciągle jeszcze mieszkał.

Wprawdzie marzyła o wakacjach w Egipcie, znalazła nawet całkiem przyjemny i niedrogi hotel, ale kiedy powiedział jej, że kumpel nie może jechać na zaplanowane wakacje, bo jego dziewczyna złamała nogę i praktycznie za darmo odstąpił mu swoją miejscówkę, machnęła ręką na to kompletne zadupie.

Żmijec? Żabiec? – próbowała sobie przypomnieć nazwę jakieś zapadłej podlaskiej wsi. – *Żabiniec!* – spojrzała na zapisany na kartce adres. To tam miała spędzić najbliższe dwa tygodnie.

Problem w tym, że Adrianowi przesunęli urlop. Musiał pojechać w trasę za chorego kumpla, więc pierwsze trzy dni w tej cholernej Żabie miała być zupełnie sama.

Zastanawiała się nawet, czy nie odwołać wyjazdu, ale w końcu niechętnie przyznała, że woli spędzić ten czas, wylegując się nad jeziorem, nawet w największej pipidówce, niż gapiąc się przez okno na kaliskie blokowiska.

No i wzięła już urlop, a właściwie to wydarła go pazurami. Minął ponad rok, odkąd rzuciła studia i wróciła do rodzinnego miasta. Niemal natychmiast znalazła pracę w recepcji jednego z najlepszych hoteli. Biegle znała angielski, niemiecki i rosyjski, do tego była bystra i atrakcyjna, szybko awansowała na stanowisko menadżerskie i przekonała się, że do zarabiania niezłych pieniędzy wcale niepotrzebne są studia. Od czasu kiedy podjęła tam pracę nie wzięła ani jednego dnia urlopu, nawet w Wigilię bez szemrania przyszła do pracy, ale teraz musiała dostać to wolne! Nie pomogły zaklinania szefa, że to szczyt sezonu i ciche szepty podwładnych, że urlop w wakacje w pierwszej kolejności należy się matkom z małymi dziećmi. Postawiła na swoim i w czasie największego obłożenia hotelu dostała dwa tygodnie luzu.

A teraz wszystko psu na budę! Wiedziała, że to nie wina Adriana, ale i tak była na niego coraz bardziej wściekła.

Drgnęła, kiedy niebo przecięła fioletowa błyskawica, a po kilku sekundach po rozgrzanych uliczkach Kalisza przetoczył się głuchy pomruk grzmotu. Chwilę przyglądała się kolejnym błyskom przecinającym firmament, a potem ze złością otworzyła schowek i wyciągnęła srebrzystą, elegancką walizkę.

– Niech cię szlag, Adrian! – mruczała pod nosem, wyciągając z szafy nowiutki kostium kąpielowy, krzyk mody tegorocznych wakacji. – Lepiej dla ciebie, żeby ten wyjazd okazał się wart mojego czasu i zaangażowania!

* * *

Gabriel nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, właśnie dostał robotę! Wprawdzie to tylko zastępstwo na półtora miesiąca, ale przyszło dokładnie wtedy, kiedy go potrzebował. Nic to, że to jakieś przedpiekle, a może nawet lepiej. Kto go będzie szukał w takiej dziurze zabitej dechami?

Miejsce spadło mu jak manna z nieba i to właśnie teraz, kiedy zaczęło robić się naprawdę gorąco. Musiał gdzieś spokojnie przeczekać kilka najbliższych tygodni. Psy ostatnio zaczęły za bardzo węszyć.

Nie miał pojęcia czy wiedzieli, że to on sprzedaje narkotyki, ale ich częste wizyty w lokalu działały mu na nerwy. A kiedy połączyli zgwałcenie jakiejś małolaty z jej wizytą w klubie, poczuł, że pętla zaczyna się zaciskać. W życiu nie powiedziałby, że to lolitka. Wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć wiosen, więc nawet mu oko nie drgnęło, kiedy koleś sypał jej coś do drinka. Zresztą, co go obchodzili inni ludzie? Miał żelazną zasadę – *Żyj i daj żyć innym.* Nie ćpał, zdrowo się odżywiał, chodził na siłownię, a że byli tacy, co mieli inne potrzeby? Ich sprawa!

Tylko że po tej akcji pały namierzyły miejsce dystrybucji. Ktoś musiał wsypać, gdzie kupuje towar i grunt zaczął mu się palić pod nogami.

Szefowi powiedział, że ojciec miał operację i musi pomóc matce w gospodarstwie. Miał nadzieję, że jak sprawa przyschnie będzie mógł wrócić do miasta. Nawet pokój opłacił za dwa miesiące z góry, nie chciał, żeby mu taka miejscówka przepadła, chociaż na wszelki wypadek zabrał wszystkie cenniejsze rzeczy ze sobą.

Tylko za nic nie mógł sobie tego Bartka przypomnieć. Nie miał pojęcia, skąd gość, który zaproponował mu robotę, miał numer i dlaczego zadzwonił akurat do niego? Facet mętnie tłumaczył, że za każdym razem, kiedy bywał w okolicy, zachodził do klubu i gadali o dupach, a Gabriel ostatnio skarżył się na kompletne wypalenie zawodowe. Może i tak? Mało to lamusów siada po drugiej stronie i truje o niczym? Nie był w stanie spamiętać tysięcy ludzi, którzy przewalając się przez jego bar mieli potrzebę spowiedzi. Jeżeli gość był namolny, to mógł mu sprzedać coś w stylu – *tęsknię za ciszą i spokojem,* w końcu każdy ma swój próg wytrzymałości. Najważniejsze, że dzięki temu miał gdzie zacumować, a do tego z żarciem i spaniem za free.

Teraz Gabriel siedział na swoim motorze i cisnął, ile fabryka dała. Jeszcze dziś musiał dotrzeć do Żabińca, wieczorem zaczynał nową pracę.

* * *

Doktor Elżbieta Berezowska była zmęczona. Tak po prostu, po ludzku, zaczynało brakować jej sił. Ostatnie dwa i pół roku były dla niej najtrudniejszymi w całym długim, niemal sześćdziesięcioletnim życiu.

To zdecydowanie nie był dobry czas, trudno go nawet nazwać przeciętnym, przerobiła najgorszy ze scenariuszy, jaki mógł zafundować jej los. Ktoś tam na górze musiał mieć niezły ubaw, patrząc jak pełna wiary i ufności pokonuje kolejne przeszkody, dokonuje rzeczy niemożliwych, wspina się na szczyty ludzkich możliwości, a potem bezwładnie spada w dół, jak suchy liść strącony z martwej gałęzi.

Trzeci marca dwa tysiące dwudziestego trzeciego roku – dzień, który zapamiętała na zawsze, i który sprawił, że nic nigdy nie było już takie samo.

Zaczął się jak wiele innych, ponurym, mglistym i mroźnym porankiem. Elżbieta była wściekła, zaspała i z właściwą sobie niecierpliwością spieszyła się, żeby zdążyć na poranny obchód. Wprawdzie to ona była szefem i nikt nie kontrolował czasu jej pracy, ale nienawidziła się spóźniać. Nie tylko dlatego, że była ordynatorem jednej z najlepszych klinik neurochirurgicznych w kraju, ale też ze względu na swoich studentów. Była kobietą starej daty i wciąż wierzyła, że dobry przykład przełożonych pozwoli wychować pokolenie sumiennych i odpowiedzialnych lekarzy.

Elżbieta była perfekcjonistką w każdym calu. Od początku studiów pasjonowała ją neurochirurgia i marzyła, żeby kiedyś stanąć przy stole operacyjnym. Kiedy na trzecim roku zakomunikowała, że wybierze właśnie ten kierunek, zalała ją fala żartów ze strony kolegów i niedowierzania ze strony wykładowców. Jakim cudem ta mała, ważąca niespełna pięćdziesiąt pięć kilo, eteryczna brunetka z buzią niczym Kalina

Jędrusik i lekko rozmarzonym spojrzeniem, miałaby zostać neurochirurgiem?

W tamtych czasach jej koleżanki wybierały internę, pediatrię, ginekologię i okulistykę. Szczytem ekstrawagancji była anestezjologia, więc nikt na poważnie nie brał jej zapowiedzi. Berezowska postawiła na swoim i dostała się na tę specjalizację z najwyższą lokatą, a w ciągu kilku pierwszych lat pracy udowodniła, że pod delikatną powłoką skrywa idealną precyzję, żelazną dyscyplinę i ogromną odporność psychiczną.

Od tamtej pory nieustannie szkoliła się, budując image niezawodnej operatorki i świetnej diagnostki. Ukoronowaniem jej tytanicznej pracy było objęcie ordynatury Oddziału Neurochirurgii i równoczesne przyjęcie funkcji nauczyciela akademickiego na tutejszym uniwersytecie. Teraz o rezydenturę na jej oddziale walczyli tylko najlepsi.

Nie posiadała się ze szczęścia, kiedy Agnieszka wybrała medycynę, zapowiadając, że pójdzie w ślady matki i ona również zostanie neurochirurgiem. Wprawdzie była dopiero na piątym roku i wszystko mogło się jeszcze zmienić, ale właśnie zaczynała praktyki na jej oddziale.

A teraz obie były spóźnione! Wszystko przez Romana! Wczoraj mieli trzydziestą rocznicę ślubu i mąż namówił ją na wyjście do ich ulubionej restauracji. Rzadko ostatnio gdzieś razem bywali, więc wiedząc, iż następnego dnia nie ma w planie żadnych zabiegów, zgodziła się bez wahania.

To był naprawdę miły wieczór, wysączyli dwie butelki najlepszego szampana i bawili się setnie, tylko rano była tak

zmęczona, że nie usłyszała dźwięku budzika! Teraz dopinając żakiet popędzała równie zaspaną Agnieszkę.

– Zaczekaj! – Usłyszała głos męża, kiedy obie były już w przedpokoju.

Odwróciła się niechętnie, na schodach stał Roman z rozchełstaną koszulą i półprzytomnym spojrzeniem.

– Spieszę się! – syknęła wściekła i lekko popchnęła córkę w stronę wyjścia. – Już jestem spóźniona!

– Chyba zapomniałaś, że wczoraj odstawiłem twoje auto do mechanika. Podrzucę was w drodze do pracy, tylko dajcie mi trzy minuty. – Odwrócił się i pędem wbiegł na piętro.

Jeszcze i to! Zupełnie zapomniała! Rzeczywiście jej samochód ostatnio mocno szwankował. Komputer pokładowy zwariował i nieustannie wyświetlał coraz to nowe komunikaty zupełnie nie mające pokrycia w rzeczywistym stanie auta. Wczoraj w drodze do restauracji zostawili go w autoserwisie, a do domu wrócili taksówką…

Dziesięć minut później, w pełnej napięcia ciszy, całą trójką siedzieli w samochodzie. Roman od zawsze był wzorowym kierowcą, nigdy nie przekraczał dozwolonej prędkości i stosował się do wszystkich, nawet najbardziej absurdalnych, przepisów. Teraz było podobnie, zanim ruszyli musiał zeskrobać szron z każdej szybki, a kiedy w końcu udało im się wyjechać z posesji, wlókł się niemiłosiernie, wyprzedzany przez wszystkie, nawet najbardziej leciwe auta.

Wściekła Elżbieta zmełła w ustach przekleństwo i odwróciła głowę w stronę okna. Gapiła się na hałdy śniegu roztapiającego się na poboczach. Przedwiośnie to chyba najbrzydsza pora

roku. Śmieci, psie kupy, niedopałki papierosów wdeptane w zrudziałe trawniki, wszystko to, co litościwie przykryła biała pierzynka, teraz wyłaziło na wierzch i kłuło w oczy mieszczuchów uwiedzionych chwilowym urokiem zimy.

– Ruszże się człowieku! – Nie wytrzymała, kiedy Roman po raz kolejny wyhamował przed przejściem dla pieszych w chwili, kiedy przechodzień był dobre dziesięć metrów od pasów.

Mąż omiótł ją obrażonym spojrzeniem i lekko przyspieszył. Berezowska spojrzała na córkę, szukając u niej poparcia, ale Agnieszka, ze słuchawkami na uszach, niewzruszona siedziała na tylnej kanapie, kartkując notatki z ostatniego wykładu. Widząc, że mężczyzna zwalnia przed kolejnymi światłami, mimo iż nadal świeci się zielone, głośnym sapnięciem dała upust swojemu niezadowoleniu.

Ostatnie, co zarejestrował jej mózg – to zdziwienie, że Roman zamiast zwolnić, wjeżdża na skrzyżowanie przy pomarańczowym świetle, a po kilku ułamkach sekundy, wstrząs spowodowany uderzeniem rozpędzonego TIR-a.

Resztę znała tylko z opowieści. Ciężarówka dosłownie wgniotła Romana w karoserię auta, masakrując wszystkie narządy wewnętrzne, podobno kilka zastępów straży pożarnej pracowało nad ich uwolnieniem. Jedynym pocieszeniem był fakt, że mąż zginął na miejscu.

Agnieszkę w stanie ciężkim przewieźli do kliniki, a ona wyszła z tego bez najmniejszego draśnięcia. Chwilowa utrata przytomności, to była jedyna dolegliwość jakiej doznała, obeszło się nawet bez wstrząśnienia mózgu.

A potem… Potem pochowała męża i przegrała walkę o życie córki, chociaż jak jej Bóg miły, zrobiła wszystko, żeby ją uratować.

Od dwóch lat, codziennie, odtwarzała każdą sekundę tamtego poranka. Czy gdyby… – z zamyślenia wyrwał ją ostry dźwięk telefonu.

– Słucham? – Po profesjonalnym, pełnym opanowania tonie, nikt nie domyśliłby się, w jakim świecie była przed chwilą.

– Pani doktor, czekamy z obchodem – usłyszała lekko zachrypnięty głos oddziałowej. – Zejdzie pani?

– Już schodzę. – Potwierdziła sucho, zerkając na zegar wiszący nad jej biurkiem.

Wstała i poprawiła fartuch. Z lustra patrzyła na nią ta sama dziewczyna, która wiele lat temu marzyła, że kiedyś zostanie znanym i cenionym neurochirurgiem.

Niewiele zmieniła się od tego czasu, przybyło jej raptem kilka kilogramów i trochę zmarszczek na twarzy. Nigdy o siebie nie dbała, a mimo to czas był dla niej łaskawy. Tylko te oczy. Ktoś, kto patrzył uważnie, mógł dostrzec w nich ocean smutku i bezbrzeżne zmęczenie…

Od dwóch i pół roku nie była na żadnym urlopie, zachowywała się jak automat: pracowała, jadła, spała i wieczorami w samotności piła na umór…

Od dzisiaj koniec z tym! Nie wytrzyma dłużej takiego życia. Ból, umartwianie się i poczucie winy, zżerały ją od środka, nie pozwalając obudzić się żadnym innym instynktom i uczuciom.

Nawet nie wiedziała, w jakim konkursie wygrała ten wyjazd. Podobno był nagrodą za zakupy w jednym z osiedlowych

dyskontów. Rzeczywiście robiła tam sprawunki i za każdym razem skanowała aplikację, którą dawno temu zainstalowała jej Agnieszka. Robiła to zupełnie mechanicznie, nie śledząc komunikatów, promocji i gazetek wyświetlanych na ekranie telefonu. Kiedy kurier przyniósł jej zawiadomienie o wygranej, była niemal pewna, że to jest jakieś oszustwo. Ale kiedy zatelefonowała pod numer podany na białym kartoniku z logo sklepu, miła pani poinformowała ją, że w sierpniu czeka na nią pokój z pełnym wyżywieniem, opłacony i przygotowany na dwa tygodnie luksusowego pobytu.

Elżbieta uznała, że to znak. Wszechświat chce, żeby wróciła do żywych! W szczycie sezonu urlopowego zakomunikowała, że wyjeżdża na dwa tygodnie. Nie przejmowała się tym, że ktoś będzie musiał zrezygnować ze swoich wakacji, było jej to zupełnie obojętne. Zaraz po dzisiejszym dyżurze pojedzie do Żabińca!

* * *

Piotr Pokrzycki rozluźnił zaciśniętą pięść, wypadła z niej zgnieciona kulka papieru w kratkę. Przez chwilę gapił się w nią bezmyślnie, a potem podniósł i rozprostował, ostrożnie wygładzając brzegi. Kilka zdań napisanych odręcznym, trochę dziecinnym pismem spowodowało, że jego świat wywrócił się do góry nogami.

Nic wielkiego, sama data oddzielona przecinkiem od okrągłej kwoty pięciuset tysięcy i suchy dopisek pod spodem: *„Tylko tyle było to dla ciebie warte?”,* sprawiły, że wypita przed chwilą kawa podeszła mu do gardła.

Jakim cudem? Przecież Waliszewski nie żył od roku. Kto inny mógł wiedzieć o ich układzie?!

Na początku myślał, że może to młody robi sobie jakieś żarty, ale gówniarz nawet nie miał pojęcia o jego istnieniu. Nie przesłuchiwał go, nie widział, nie mieli żadnego kontaktu, nawet nie był na komisariacie, takie warunki postawił Waliszewski – chłopak nie został wymieniony w żadnym dokumencie.

Zgodnie z umową Pokrzycki miał za to zainkasować pół miliona, komfortowe lokum i otrzymać awans na komendanta jednego z łódzkich komisariatów. To na początek, bo w niedługim czasie miał zostać komendantem miejskim, a w przyszłości… Kto wie? Waliszewski rządził nie tylko Łodzią, ale i sporą częścią polityków. Po cichu marzył mu się komendant główny policji, a może nawet stołek ministerialny…

To, że Piotr musiał opuścić swoje ukochane miasto, potraktował jak chwilową niedogodność, zresztą tam i tak nie było dla niego żadnej przyszłości. Stare, tłuste koty obsiadły co ważniejsze stanowiska i nie zamierzały się posunąć, a Ryszard Waliszewski naprawdę był „kimś", z kim liczył się świat polityki, biznesu i półświatka.

Słowa dotrzymał, właśnie minęło półtora roku od czasu, gdy Pokrzycki dostał awans i przeniesienie, tylko wkrótce po tym stary łobuz zmarł na zawał serca, a Piotr utknął w podrzędnym komisariacie, na pierwszym szczeblu obiecanej kariery.

I właśnie teraz, kiedy o jego spektakularnej akcji ujęcia jednego z najbardziej poszukiwanych przestępców w kraju rozpisywały się wszystkie gazety, życie i kariera w końcu

zaczynały mu się układać, dostał upragnioną propozycję awansu na zastępcę komendanta miasta, przyszedł pierwszy anonim.

Chociaż nigdy nie wracał do tamtego zdarzenia, przez chwilę znowu wszystko stanęło mu przed oczami. Nie czuł się winny, zdawał sobie sprawę, że gdyby on wtedy nie pomógł Waliszewskiemu, zrobiłby to ktoś z komendy. On skorzystał jedynie ze swojej szansy i każdy rozsądnie myślący człowiek tak by na jego miejscu postąpił!

Drugi anonim przyszedł kilka dni później. Zbladł, kiedy wraz z firmową pocztą przyniesiono mu na biurko białą kopertę zaadresowaną niewyrobionym pismem z adnotacją *Do rąk własnych*. List zawierał krótkie przypomnienie tamtej nocy i konkretne wytyczne: gdzie i kiedy ma przyjechać, inaczej cały świat dowie się, że nie jest żadnym bohaterem, a małym, skorumpowanym, sprzedajnym, gnojem. Do wiadomości nie załączono żadnych żądań, co niepokoiło go jeszcze bardziej. Jeżeli gość chciał kasy, to powinien dać mu możliwość przygotowania się, bo, jak przypuszczał, nie będzie to jakieś pięć czy dziesięć tysięcy. Była też alternatywa, że chodzi o ingerencję w któreś z toczących się obecnie śledztw, ale szybka analiza spraw prowadzonych przez jego podwładnych nie dała odpowiedzi. Poza ostatnim, spektakularnym i zupełnie przypadkowym, ujęciem międzynarodowego handlarza narkotyków poszukiwanego czerwoną notą Interpolu, same rozboje, kradzieże i wykroczenia. Nic specjalnego.

Ale to, co uwierało Piotra najbardziej, to niepokój, skąd ten człowiek znał treści ich rozmów? Czyżby Waliszewski wszystko nagrywał, a teraz, po latach, ktoś odnalazł jego archiwum? A

jeżeli tak, to co jeszcze tam mogło być? W końcu przez pierwsze pół roku jego łódzkiej kariery, jeszcze przed śmiercią Ryszarda, często robili różne interesy. Teraz nie mógł uwierzyć, że za jeden głupi błąd mógłby stracić wszystko, na co tak ciężko pracował.

Podskoczył, kiedy Magda weszła do pokoju. W ręku trzymała jego kosmetyczkę, ale na jej twarzy gościł grymas niezadowolenia. Nadal była zła, że nagle wyjeżdżał na cały tydzień i z tego powodu muszą przesunąć zaplanowany wyjazd do jej siostry.

– Naprawdę musisz jechać? – Wydęła pomalowane na różowo wargi, podając mu wypakowaną męskimi kosmetykami saszetkę i równiutki stos czystych koszulek.

– No co robić, służba nie drużba – zażartował, wzruszając ramionami i uśmiechając się nieszczerze.

– Wiesz, że mi się to nie podoba. – Skrzywiła się rozżalona. – Kto przy zdrowych zmysłach wysyła komendanta na szkolenie w środku wakacji? Naprawdę nikt inny nie mógł pojechać?

– No nie mógł, skarbie – pocałował ją w pachnący pudrem policzek – i nie na szkolenie, tylko na naradę. – To było marne i żałosne kłamstwo, ale tylko tyle potrafił wymyślić na szybko. – Obiecuję, że jak wrócę wszystko ci wynagrodzę.

– Zdecydowanie nie dam ci o tym zapomnieć – burknęła trochę przychylniejszym tonem. – Gdzie ty właściwie jedziesz?

– Gdzieś pod ruską granicę.

– Gdzie?! – Teraz w oczach Magdy malował się prawdziwy niepokój. – Oszalałeś?!

– Spokojnie, to zwykły cywilny pensjonat, a nie baza wojskowa, ludzie tam na wakacje jeżdżą – mimo napięcia, w jakim ostatnio żył, nagły strach żony naprawdę go rozbawił. – Jeżeli będzie ładnie i dobrze karmią, to może razem się tam wybierzemy? Nazywa się Modrzewnica, a miejscowość Żabiniec. – Zawsze uważał, że dobre kłamstwo musi opierać się na półprawdach, lepiej więc było podać prawdziwą lokalizację, gdyby Magdzie nagle przyszło do głowy skontrolowanie, czy na pewno nocuje w tym hotelu.

– Modrzewnica? Co to w ogóle znaczy? – kobieta wyglądała na poirytowaną.

– Pojęcia nie mam, kochanie – odrzekł Piotr zgodnie z prawdą. – Ale czy ty przypadkiem nie miałaś umówionej wizyty u fryzjera? Spójrz, która jest godzina – postukał wymownie w szkiełko zegarka na swoim przegubie.

– Rzeczywiście – Magda gwałtownie zerwała się z krzesła. – Chyba przyniosłam ci już wszystko. – Spojrzała na niemal pełną walizkę. – Poradzisz sobie? – a widząc rozbawione spojrzenie męża, dodała – tylko zadzwoń, jak dojedziesz i wracaj jak najszybciej. – Przytuliła się mocno a już po chwili, zerkając nerwowo na zegarek, trzymała rękę na klamce.

– Poradzę, spokojnie możesz jechać. – Rzucił do pleców żony znikających w drzwiach.

Piotr stanął przy oknie i obserwował parking. Kiedy tylko samochód Magdy zniknął za rogiem, podszedł do sejfu umieszczonego za obrazem tańczącej na polanie kobiety i wstukał sześciocyfrowy kod. Po sekundzie wahania wyjął stamtąd brązową, skórzaną, kaburę. Otworzył zatrzask i

wydobył broń. Rzadko z niej korzystał, Walther P99 pachniał smarem, metalem i prochem. Niezdecydowany zważył go w ręku, a potem zwolnił przycisk magazynku. Zasobnik był pełny, tkwiło w nim piętnaście naboi. Ten widok podziałał na niego kojąco. Zdecydowanym ruchem wsunął pistolet na dno walizki i zaciągnął zamek.

Piotr Pokrzycki był gotów do drogi.

* * *

Damian podszedł do lustra i poprawił wystający kosmyk. Nie żałował, że dwa lata temu przefarbował się na blond, a dzisiejsza fryzura całkiem mu się podobała, ale ten odcień był fatalny! Mówił temu januszowi, że chce biszkoptowe pasemka, a dzban zrobił mu karmel! Co za nieogar!

Mimo to był zadowolony ze swojego wyglądu. Metr dziewięćdziesiąt, wysportowana sylwetka z pięknie wyrzeźbionym sześciopakiem, mocno zarysowana szczęka, wydatne, mięsiste usta i lazurowe oczy w oprawie długich, czarnych, rzęs. Dobrze, że zrobił laminację, spojrzenie nabrało głębi i zalotności.

Dokładnie wmasował balsam w idealnie wygolone policzki, rozkoszując się tą chwilą tylko dla siebie. Naprawdę lubił swoją kobiecą urodę i lubił o siebie dbać. Maseczki na twarz, manicure czy golenie owłosienia, było naturalną częścią codziennej pielęgnacji, tak jak wielogodzinne treningi na siłowni. Dzięki temu jego powierzchowność była jak lep na laski. Był spełnieniem kobiecych marzeń, można rzec idealny „boyfriend material". Ktoś kto wygląda jak skrzyżowanie

młodego Roberta Pattisona z Jasonem Momoa, robił nie tylko piorunujące wrażenie, ale z mety dostawał ogromny kredyt zaufania i rozmiękczał serca najbardziej zajadłych sekutnic.

Tak, zdecydowanie, wygląd zewnętrzny ma znaczenie! Wielokrotnie tego doświadczył. Ładnym żyje się lepiej i więcej im wolno.

Już w przedszkolu, kiedy za bardzo narozrabiał, wpatrywał się w swoją opiekunkę wielkimi, niebieskimi oczami i wszystkie psoty uchodziły mu na sucho. Podobnie było w szkole, chociaż w liceum samo spojrzenie już nie wystarczyło. Ale to wtedy zaczął pracować nad trudną, a jakże przydatną i fascynującą, sztuką manipulacji. Można powiedzieć, że zanim ukończył edukację szkolną, w sofistyce i socjotechnikach był już prawdziwym mistrzem.

Do tego zawsze dbał o pozory, jeżeli robił coś naprawdę złego, starał się, żeby nie było żadnych świadków, bez względu na to czy dotyczyło to otrucia znienawidzonego kota sąsiadów, obłapiania koleżanek w szkolnej toalecie czy też odbierania kasy lamusom.

Był stuprocentowym sigmą! I nic tego nie zmieni, a świat składa się ze zwycięzców i przegranych. Ci pierwsi mają i mogą wszystko, drudzy są po to, żeby na nich pracować i im służyć!

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk telefonu. Obojętnym wzrokiem omiótł wyświetlacz i poczuł napływ adrenaliny. Sara! Jednym ruchem odebrał połączenie:

– Co tam, Bebe?

– Kotku – usłyszał słodki głos, który ostatnimi czasy rozpalał jego zmysły do białości – będę dzień, no może dwa później.

Mojemu mężowi przesunął się wyjazd do Dubaju, a nie mogę wyjechać przed nim…

– I co teraz? – Ekscytacja, jaką czuł w ciągu ostatnich dni uszła z niego jak z przekłutego balonu.

– Nic, poczekasz trochę dłużej – roześmiała się perliście. – Ale wynagrodzę ci to tak, że przez lata będziesz śnił o naszym małym tête-à-tête. – W głosie kobiety brzmiała namiętność zmieszana z żądzą.

– To kiedy jedziemy? – Uśmiechnął się lubieżnie do słuchawki.

– Ty, kotku, jedź dzisiaj. Nasz pokój i wyżywienie jest w pełni opłacone, nie ma powodu, żebyś psuł sobie urlop. Popływaj, poopalaj się, zrelaksuj, zbieraj siły i szykuj się na mnie, dołączę, jak tylko będę mogła. Najpóźniej za dwa dni…

Kilka minut później kończył pakowanie i nadal nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Sara była wyjątkowa!

Posiadł wiele kobiet, takich które chciały z nim być i takich po które sięgał, bo to on miał na nie ochotę. W swoim krótkim, niespełna dwudziestopięcioletnim życiu szły w setki, może nawet przekroczył tysiąc? Nie wiązał się, nie obiecywał, nie zaprzątał sobie głowy prezentami i zabieganiem o względy. Nie musiał! Same pchały się do jego łóżka, a on tylko łaskawie obdarzał je swoim zainteresowaniem. Te mniej chętne, zamiast stawiać opór, powinny być wdzięczne, że spojrzał w ich stronę. Ale nie Sara!

Sara to była inna liga. Niedostępna dla zwykłych śmiertelników! Niczym bajkowa księżniczka z melodramatów matki, albo raczej ta blond panienka ze starych pisemek ojca.

Pamela Anderson, czy jak jej tam było? Nie wiedział dokładnie, ile Sara miała lat, ale musiała dobijać do czterdziestki, bo jej dokonania były imponujące. W ciągu tych kilku rozmów wymsknęło jej się, że skończyła Akademię Sztuk Pięknych, a od kilkunastu prowadzi jakąś znaną galerię. Nie chciała mu zdradzić, jak się nazywa i gdzie dokładnie mieszka, ale szczerze mówiąc niewiele go to obchodziło. Sara w zupełności wystarczyło. Szybko wywnioskował, że kręci ich dokładnie to samo, nawet się z tym specjalnie nie kryła, że podnieca ją perwersja i ból. Żałował tylko, że odmawiała kontaktów na kamerce, ale rozumiał, że kobieta z jej pozycją mogła się obawiać, że ktoś będzie chciał nagrać, a potem wykorzystać ich filmiki. Był cierpliwy, zdjęcia które mu wysyłała, utwierdzały go w przekonaniu, że warto poczekać na spotkanie w realu. Takie walory to skarb!

Na samo wspomnienie jej ciała poczuł narastające pożądanie. Była idealnie, idealna! Poznali się niespełna miesiąc temu na Tinderze i od tamtej pory kompletnie dla niej oszalał. Jeszcze żadna kobieta tak go nie kręciła. Z każdą rozmową, wymianą zdjęć i wiadomością, coraz bardziej chciał ją posiąść. W głowie mnożył scenariusze, jak to rozegra i ile przyjemności może mu zapewnić. I zamierzał to wszystko uwiecznić. W najśmielszych snach nie wiedziała, co ją czeka, na samą myśl zarechotał obleśnie…

– Szykuj się, Bebe – mruknął, dopinając torbę.

Był gotowy do drogi. Wbił w nawigację lokalizację – Modrzewnica, Żabiniec – i przekręcił klucz w zamku.

* * *

Helena zaciągnęła się dymem z papierosa i jeszcze raz prześledziła trasę. Nie było tak źle, poza ostatnim odcinkiem jazda nie powinna być specjalnie męcząca, cały czas autostrady i drogi szybkiego ruchu. Wprawdzie wolałaby się spotkać w firmie, a nie na drugim końcu Polski, ale w tym przypadku nie było miejsca na grymasy i utyskiwania. Trzeba było decydować się błyskawicznie i modlić, żeby inwestor nie zmienił zdania.

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy to się wszystko zaczęło? Jeszcze rok temu spółka świetnie prosperowała, przynosiła niezłe dochody i nic nie wskazywało na nadciągającą katastrofę. W styczniu udało jej się podpisać kontrakt na dużą partię towaru do Francji, a gazety rozpisywały się o cudownych, naturalnych kosmetykach tworzonych według unikalnych receptur, na bazie ziół z czystych ekologicznie obszarów.

Kryzys zaczął się z początkiem lutego. Trzy niezależne kontrole sparaliżowały produkcję i stały się przyczynkiem do zablokowania kont. Nie miała pojęcia, kto na nią doniósł, ale skarbówka, kontrola ceł i inspekcja pracy niemal równocześnie zjawiły się w firmie. Jedni kończyli, drudzy zaczynali i wszyscy wiedzieli, gdzie i czego szukać. A to wszystko niedługo po tym, jak ledwie uporała się z odbudowaniem reputacji po oskarżeniach byłego wspólnika, który twierdził, że najpierw ukradła mu receptury a potem przejęła firmę, płacąc za nią grosze.

Jednocześnie w prasie, która powoli zapomniała o poprzedniej aferze, pojawił się cykl nieprzychylnych artykułów, opisujących nie tylko malwersacje finansowe, ale też zdradzających jej największą i najbardziej wstydliwą tajemnicę –

większość materiałów do produkcji swoich „ekologicznych" kremów sprowadzała z Chin. Oczywiście bez atestów i zezwoleń.

W mediach rozpętało się prawdziwe piekło, każdy nowy artykuł mnożył zarzuty. To, że nie płaciła za nadgodziny i na czarno zatrudniała część personelu było „kropką nad i", stając się początkiem końca…

Francuzi zerwali umowę, hurtownie zaczęły odsyłać wcześniejsze zamówienia, kosmetyki w błyskawicznym tempie znikały z półek drogerii i witryn internetowych. Influencerki jeszcze niedawno zabiegające o kontrakty reklamowe, kasowały wszelkie wzmianki o jej produktach. Dostawcy, którym winna była pieniądze, masowo podawali firmę do sądu a pracownicy, z których i tak większość nie miała legalnych umów, odeszli z dnia na dzień.

W ciągu pół roku straciła wszystko, na co harowała całymi latami. I kiedy dostała informację z sądu, że jej wierzyciele złożyli wniosek o stwierdzenie upadłości spółki, a w konsekwencji za kilka miesięcy komornik prawdopodobnie zlicytuje budynki wraz z całą linią produkcyjną, skontaktował się z nią Alessandro Moretti. Właściciel niewielkiej włoskiej firmy kosmetycznej, który ze względu na koszty, zamierzał przenieść produkcję do Polski i właśnie rozglądał się za odpowiednią lokalizacją. Oczywiście wiedział o problemach Heleny, stanowiło to dla niego dobry argument do negocjacji ceny, ale nie miał pojęcia, że rozpoczęła się procedura związana z uznaniem upadłości firmy.

To była jej ostatnia i jedyna szansa! Jeżeli dojdzie do licytacji komorniczej, wszystko sprzedadzą za grosze, a ona zostanie z niczym. Sprzedaż przedsiębiorstwa Morettiemu pozwoli na spłatę zadłużenia i da jej trochę pieniędzy na nowy początek. Skromny i oszczędny, ale nie pójdzie na dno! No, chyba że uda jej się namówić Morettiego na fuzję. Swoją drogą ciekawe, jak ten Włoch wygląda? Szukała w necie, ale znalazła tylko opis marki, bez żadnych zdjęć właściciela i szczegółowych informacji o nim. Facet albo unikał rozgłosu medialnego albo był po prostu paskudny.

No cóż, była gotowa się poświęcić, zresztą i tak od roku była sama, więc mały „skok w bok" byłby całkiem pożądanym urozmaiceniem, a Włosi to ponoć namiętni kochankowie.

Helena stanęła przed lustrem i zmierzyła się krytycznym spojrzeniem. Idealna reklama firmy kosmetycznej, chociaż nigdy nie używała żadnego z mazideł, które wyszło z jej zakładu. Z lustrzanego odbicia spoglądała na nią kobieta, która na pewno nie wyglądała na swój wiek: szaroniebieskie oczy w czarnej oprawie gęstych rzęs, mały zgrabny nosek z kilkoma piegami, duże wydatne usta, całość otoczona burzą czarnych loków i nieskazitelna figura, nie wskazywały, że właścicielka tego ciała powoli zbliża się do pięćdziesiątki. Nawet bez makijażu ciągle jeszcze wyglądała ponętnie – zadowolona uśmiechnęła się do siebie.

Jeszcze raz przejrzała rozłożoną na łóżku garderobę. Miało być z klasą, ale na lekkim luzie, taka casualowa elegancja ze sporą domieszką kobiecości. W normalnych warunkach postawiłaby na coś formalnego i szykownego, miała pół szafy

takich ubrań. Ale to nie były normalne warunki, niewielki pensjonat na jakimś wygwizdowie, to dość niecodzienne miejsce zawierania transakcji. Chociaż tłumaczenie mężczyzny, że prowadzi rozmowy na Litwie, a potem leci do Włoch z lotniska w Wilnie, brzmiały całkiem prawdopodobnie. Tym bardziej, iż wyraźnie zaznaczył, że jeżeli dojdą do porozumienia i podpiszą umowę przedwstępną, będzie chciał osobiście zobaczyć zakład.

Żabiniec – tak brzmiała nazwa tej nieszczęsnej miejscowości. Wystarczył rzut okiem na ofertę w necie, żeby wiedzieć, że to niewielki hotelik, na wersal i etykietę nie ma co liczyć.

Z głośnym westchnieniem włożyła wyselekcjonowane ciuchy do walizki. Po chwili wahania dorzuciła jeszcze kostium kąpielowy i szorty. Była gotowa do drogi.

GĘBALÓWKA

łżykwiat 1710

Rozdział II

Suligniewa zadrżała i ciężko oparła się o drzwi chaty, im słońce niżej było, tym większy lęk i frasunek czuła. Gdzież się ta Bolemira zapodziała? Taż jeno do Konopków poszła, dawno winna do chałupy nawrócić, a to już drugi dzień mijał jak przepadła bez wieści. Po resztą, to wcale nie trza było tam leźć, od początku wiesny gadali, że zaraza coraz bliży. Ponoć już w Matłaku chorzeli, a kogo morowa panna naznaczyła, to z rzadka kiedy kostusze spod kosy ucik.

Dziewczyna błagała starą, coby nie szła, trwogę w sobie miała okrutną, i o babkę, i o osadę, i o siebie. Odkąd morowe powietrze nachodzić poczęło, ludziska krzywo na nią spoglądali. Dawne plotki na nowo rozgrzały ich do żywego, a kiedy szła koło jakiej chałupy, milkli i wilkiem spozierali.

Bo i było czego się bojać, zaś nawet i Suligniewa przytaknąć na to musiała. Czarna śmierć zbierała pokaźne żniwo w okolicy, i chyba cud to był jaki, że tak długo do Gębalówki nie dotarła. Może pomogły krzyże na dukcie, a może ogniska palone dookoła osady, kadzenie chałup tatarakiem, bylicą i jałowcem, albo nacieranie czosnkiem? Ale póki co, morowa panna nie zapukała jeszcze do żadnej chałupy.

Mimo to sąsiedzi noc i dzień straże trzymali, coby nawet mysz do wioski prześlizgnąć się nie mogła. A procesyje pokutne codziennie przed samym zmierzchaniem wokół chat krążyły, mimo że ksiądz proboszcz zamknął się w plebanii i już drugą niedzielę jak mszy nie odprawiał, a i zachorzałym ponoć posługi

odmówił. Na koniec każdej z procesyj dary na przebłaganie złego i ochronę przed plagą, pod krzyżem na rozstaju dróg składano: jaja, chleb, połeć boczku… Aż strach pomyśleć, co by było gdyby dobrodziej się zwiedział o tych pogańskich praktykach, więc może to i szczęście, że nosa poza próg chałupy nie wyściubiał.

Jakby na potwierdzenie jej myśli, do wnętrza izby wtargnęły głosy somsiadów. Odgłos nabożnych modlitw do świętego Rocha i świętej Rozalii narastał, mieszając się ze śpiewem oraz niosąc echem po okolicy:

– *Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas Panie…* – dudniły głosy przechodzących w orszaku, zdając się wypełniać wnętrze izby.

Suligniewa skuliła się bezwiednie, napięta niczym struna, czekała kiedy gawiedź załomocze w drzwi i wywlecze ją na podwórzec, ale po chwili śpiewy jęły się oddalać a procesyja najpewniej podążyła na rogatki osady.

Dopiero naówczas wypuściła ze ściśniętej piersi powietrze i odetchnęła z ulgą. Zaś nie tą razą jeszcze. Nadal była bezpieczna. *Może Bolemira zdoła przybyć na czas?* – myślała, próbując uspokoić rozedrgane bojaźnią ciało.

Wieś pamiętała to, czego ona pomnieć nie mogła. Historyję znała jeno z opowiadań starej i wiedziała, że jej to zawdzięcza swój żywot. Jegdy Bolemira nie miała mocy poważania a ludziska się przed nią nie strachali, dawno by Sulikę z osady pognali lub kijami zatłukli. Ale zielarka naparła się, żeby bachora zatrzymać na wychowanie i na swoim postawiła.

Niemal osiemnaście wiosen minęło od tamtych zdarzeń i zdawać się mogło, że somsiady już zapomniały. I było tak, aż do początków brzezienia. Ledwie baźki pylić zaczęły, co wieść gruchnęła po wsi, że zaraza nadciąga. Nie stało tygodnia, coby ktoś plotek nie przyniósł, że kolejna osada zadżumiona została, a ludzie niczym muchy padali jeden po drugim.

Jegdy przyczyny miejscowi szukać zaczęli, komuś przypomniało się, co jak jeno cieplejsze dni nastały, Suligniewa wieczorami wieś obiegała. Wiela nie trza było, żeby z jej przeszłością to połączyli i po chałupach pogłos poszedł:

– Zarazicha!

– Chora dziewucha!

– Mora!

Jedni szeptali i pluli przez ramię, inni coraz głośniej odważali się rzucać za nią wyzwiska, ale na wszelki wypadek każdy jeden z daleka omijać ją zaczął. Dziewczyna wiedziała, że póki Bolemira ją chroni, wieś nie waży się jej tknąć. Ale teraz babki nie było…

Poczuła, jak pod powieki napływają jej łzy rzęsiste, a ciałem wstrząsa kolejny dreszcz. Narzuciła na ramiona zapaskę i dorzuciła szczap do pieca. Ogień buchnął wesoło, a ona zapatrzona w tańczące płomienie starała się przypomnieć sobie wszystko, co zielarka mówiła o chwili, gdy ją do chałupy przyniesła.

Nalazła ją, jegdy krwawa pełnia nieboskłon zalała. Gadali, że bojaźń na mieszkańców padła okrutna, bo miesiąc wszystko w czerwieni spowił, mieszając się z atramentową czernią nocy,

niczym jucha z siłą diabelską. Znak to był dla wszystkich widoczny, że co złego się wkrótce zadzieje.

Bolemira z posługi w Borawskich wracała, jegdy tuż przed samą wsią kwilenie dzieciątka posłyszała. Z leśnej drogi zboczyła i nalazła ją w brudne szmaty owiniętą i w lisią jamę ciepniętą. Matki nigdzie nie uświadczyła a i po prawdzie zielarka nie słyszała, coby jaka młódka w okolicy brzemienna była. Stara, zataczając coraz większe kręgi wołała położnicy, lecz nikt nie odpowiadała a wilki zwietrzywszy świeżą posokę coraz bliżej podchodziły, nawołując się przejmującym wyciem.

Rady nie było, z chusty nosidło zrobiła, zapakowała w nie dziecinę i czem prędzej do wsi podążyła.

Dopiero w chałupie spojrzała się co za cudaka przyniesła. To była dziewczynka, musi świeżo zrodzona, bo cała jeszcze w mazi i śluzie matczynym utytłana. Zdrowa i dorodna, ale na głowie, miast włosów, zatknięty miała czepiec płodowy. Malutka nie płakała, jeno wpatrywała się brązowymi ślepiami w swoją wybawczynię i uśmiechała się do niej niemal całkiem bezzębnymi dziąsłami. Niemal, bo na samym przedzie jeden malutki ząbek się bielił, a przy głębszych oględzinach i dwa z tyłu się jeszcze nalazły.

Wójcina, co jej pomóc miała, aż się zapowietrzyła, widząc takiego bękarta, ślepym trza było być, coby nie obaczyć, iż złe temu bachorowi na łeb łapy położyło i zębów w gębe sypnęło! Ale Bolemira jeno ofuknęła ze złością kobiecinę i wynosić jej się z chałupy kazała. Za nic dzieciny wyzbyć się nie chciała. Obmyła małą, czepiec zdjęła, opatrzyła kikut pępowiny, w czysty bet oblekła i nakarmiła rozwodnionym kozim mlekiem.

Dopiero jegdy Suligniewa zasnęła, wyszła przed chałupę do zbierających się na podwórcu ludzi.

A już tam spory tłum somsiadów na nią czekał. Ludziska zwołane przez wójcinę, w dłoniach rozpalone żagwie trzymali, wyciągali głowy i próbowali zajrzeć do chaty za każdym razem żegnając się przy tym nabożnie.

Jeno ją dojrzeli, a pomruk wkoło się rozszedł, że złe na wioskę ściągnęła, a kto wie, może i córkę samego Szatana przyniesła? Gapili się na nią rozpalonymi ze złości ślipiami, a w dłoniach dwóch chłopów nawet widły dojrzała. Ale Bolemira bojaźni nie czuła, gawiedź za nic miała, tylko nogą tupnęła i sarknęła ze złością, że kto chce z nią wojować, to niech małą ino ruszy a ona już postara się, żeby żaden podrostek wieku dojrzałego w Gębalówce nie doczekał.

Ostre słowa rzucone w gębę zestrachanym somsiadom podziałały na nich niczym kubeł zimnej wody. Kto żyw wiedział, że Bolemira moc ma ogromną, nawet ksiądz dobrodziej do niej po poradę przychodził. Niby nigdy nie szkodziła, ale teraz w jej ślipiach widać było złość okrutną, a słowa cięły niczym najostrzejszy sierp. Cofnęła się do tyłu gromada, niepewna co robić powinna. A kiedy pierwszy chłop odwrócił się na pięcie i w stronę chałupy podążył, tak i reszta po kolei odstępować zaczęła. Nie minęło chwil kilka, jak na podwórcu jeno kury łaziły.

Dopiero wtedy zielarka odetchnęła z ulgą i spojrzała do góry. Czuła je, jegdy tylko z chałupy wylazła i modliła się, coby gawiedź łbów nie zadarła. Na szczycie dachu siedziało kilka puszczyków i wodziło oczyma za kobietą. Wyglądały jakby

sprawdzały czy też i z dzieciną wszystko w porządku. Teraz jeden po drugim skrzydła rozpościerały i w milczeniu znikały w mroku nocy. Jeden tylko się ostał i na pobliskim drzewie zamieszkał, przez te wszystkie lata doglądając, co też się w chałupie dzieje i czy dziewuszka zdrowo się chowa.

Tak i została Suligniewa na wychowanie u Bolemiry a ta uczyła ją wszystkiego, co też i sama umiała. I kiedy wszystko poczęło się w końcu układać, zaraza pojawiła się u progu osady, a ludziom przypomniało się, że we wsi diabelskie nasienie rośnie.